

## Przybyszewski. W cieniu Młodej Polski [TPCT 385]

Georges Bernanos powiedział kiedyś, że w sprawach wiary kompetentni są jedynie święty i grzesznik. Dlatego też ten niezwykle barwny myśliciel być może w rok swojej śmierci powrócił na łono kościoła i dostrzegł, że sprawy, które kiedyś gnały go w bramy Hadesu, ostatecznie zaprowadziły go przed ołtarz Chrystusa. To niezwykle rozpięcie całej doby polskiego modernizmu bardzo dobrze spina właśnie ta klamra. Przejścia, które dokonują się pomiędzy tymi dwoma nawiasami są zaś fascynującym zapisem epoki, ale też spraw, które i dziś pociągają swoją autentycznością. A zatem, czytajmy Przybyszewskiego!

Już za życia okrzyknięty legendą, nie tylko wśród polskiej cyganerii. Swoją grawitacją przyciągał całe konstelacje twórców. Był postacią tyle niebanalną, co charyzmatyczną, choć z wieloma cieniami, które przecież charakterystycznie kładą się na modernizmie, także tym w polskim wydaniu. Jeden by powiedział – reformator! Drugi zakrzyknąłby teozof i okultysta! W końcu trzeci z palcem w górze argumentowałby zapewne: filozof, którego kształtowała epoka, jak i własna historia i doświadczenie! Pewnie żaden by się nie pomylił, ponieważ postać Stanisława Przybyszewskiego zawiera w sobie bardzo wiele olśniewających wyżyn, ale i płycizn – choć nie da mu się odmówić niebywałego czucia epoki, wprzęgnięcia w nią i jej kształtowania. Rzadko jaka postać tak mocno spleta się z ideami własnych czasów, do tego stopnia, że czasem trudno rozpoznać, co kształtowało mocniej:

czy czasy osobę, czy osoba swoją epokę. Przybyszewski na pewno należał do tej galerii figur, których niepodobna pominąć, gdy myślimy o Młodej Polsce, ale też o bohemie, awangardzie czy teorii sztuki. Dlatego w 155. rocznicę urodzin Stanisława Przybyszewskiego warto na nowo wrócić do pytań: czym jest sztuka totalna? W jaki sposób spoglądać na polską awangardę? Czym była potrzeba oderwania się i buntu tego pokolenia?

Z pewnością tego twórcy nie trzeba nikomu przedstawiać, jego (co prawda dziś nieco przebrzmiała) legenda w sposób niezwykle silny organizowała rozumienie polskiego świata modernizmu. Gdy jednak przyjrzymy się Przybyszewskiemu nieco bliżej, zdejmujemy pierwszą warstwę haseł, które od razu etykietują tę postać („Sztuka dla sztuki”, „naga dusza”, „dramat syntetyczny” etc.) i spróbujemy odczytać, co kryje się za tymi sformułowaniami, jakie idee konstituowały te pojęcia czy kierunki – robi się znacznie ciekawiej. Czasem współczesnemu czytelnikowi trudno z precyzją archeologa odsłaniać te kolejne warstwy, aby dostrzec zarysy fundamentów, na których wspierała się ta konstrukcja. Ba! Sam język i idee już dziś nieco sparziały, tym bardziej mogą usypiać czujność i nie pozwalają uchwycić istoty, zasłaniać obraz. Jednak, gdy nie wiadomo, o co chodzi (trzeba sobie to jasno powiedzieć!), to chodzi o... metafizykę! To pokolenie nie było od niej bynajmniej wolne, więcej!, pragnęło jej w dobie turkotu maszyn i mgieł z pary.

Szczególnie że Akademia nie dawała – jak zdawało się tej generacji – żadnej odpowiedzi na najbardziej żywotne i nurtujące kwestie tego czasu. Skostniała, sztywna, przeciążona frazą i pustym dyskursem nie odsłaniała prawdziwej metafizyki. Zmiany mogło dokonać zrewolucjonizowanie w obrębie języka filozofii, którego wyrazem miało

być przesunięcie akcentu na doświadczenie: przeżycie, uczucie – to ono mogło odsłonić absolut. Tadeusz Żeleński-Boy nadał kiedyś Przybyszewskiemu miano „dziennikarza metafizyki”, co w pewien sposób obrazuje autora *Confiteora* – zarówno kierunek jego zainteresowania, ale też pewną nieakademickość swojego podejścia. Zresztą, jego zainteresowanie teozofią, okultyzmem, całą przestrzenią metapsychicznych zjawisk jest pewnym refleksem tej wielkiej tęsknoty za dostępem pozarozumowym do przestrzeni absolutu. A przecież działo się to w czasach, które tak mocno zostały przewrotnicowane na biologizm za sprawą czy to Darwina i teorii ewolucji, czy Spencera, który te idee przenosił na grunt społeczny.

I to właśnie owa konieczność, która zasadzała się na zależności od natury i jej praw, tym mocniej wyciskała piętno na pokoleniu, które dostrzegało zmiany cywilizacyjne (wraz z ideą jej końca) – tworząc gorzki posmak całości zastanego świata. To wszystko wprowadza w schopenhauerowski stan dostrzegania świata jako miejsca, którego główną domeną jest cierpienie – które jednak Przybyszewski zdaje się przyjmować, ale bez zgody na to, aby stanowiło dominujący element. To, co dostrzega w tym kontekście – świata, którego główną zasadą stał się ewolucjonizm – to narastające napięcie między wybitną jednostką a ogółem (pobrzmiwają tu wcześniejsze lektury i konfrontacje z koncepcjami Nietzschego). Pozostaje pytanie o źródła tego agonu – co za nim stoi. Przybyszewski zdaje się mówić, że nastąpił rozziw między wybitnym indywiduum, a jego wspólnotą polityczną – teraz społeczeństwa stają się masowe i osoby o nieprzeciętnych cechach są marginalizowane, nie mają dłużej przestrzeni, która pozwoliłaby im na pchnięcie wspólnoty naprzód wraz z wypełnieniem roli *νομοθέτης* (prawodawcy).

W ten sposób można dostrzec, że społeczeństwo masowe, często przecież mieszczańskie (pełne Dulskich i Panów Jourdain) jawi się jako *katechon* pożądanej zmiany, co powoduje erozję samych wybitnych jednostek, a w konsekwencji całej coraz to mocniej spływającej się wspólnoty. Gdy spojrzymy na Przybyszewskiego w tym kontekście, zapewne lepiej zrozumiemy zarówno jego staranie o uwolnienie sztuki spod jarzma niedojrzałego społeczeństwa, jak i uwolnienia sił witalnych jednostek, które są w stanie dokonać ponownego renesansu. Poczucie mocy, czerpanie z absolutu, którego można jednak doświadczyć, poprzez świadomość, która powinna zostać zerwana z łańcucha. W ten sposób dozwolone twórcy jest wszystko – a sama sztuka ma sięgać absolutnych rejestrów – ponieważ funkcjonuje poza „dobrem i złem”. W ten sposób ma się rysować wielki program odrodzenia świata, wydobywania z dekadencji, uchwycenia istoty życia i rzeczywistości.

Georges Bernanos powiedział kiedyś, że w sprawach wiary kompetentni są jedynie święty i grzesznik. Dlatego też ten niezwykle barwny myśliciel być może w rok swojej śmierci powrócił na łono kościoła i dostrzegł, że sprawy, które kiedyś gnały go w bramy Hadesu, ostatecznie zaprowadziły go przed ołtarz Chrystusa. To niezwykle rozpięcie całej doby polskiego modernizmu bardzo dobrze spina właśnie ta kłamra. Przejścia, które dokonują się pomiędzy tymi dwoma nawiasami, są zaś fascynującym zapisem epoki, ale też spraw, które i dziś pociągają swoją autentycznością. A zatem, czytajmy Przybyszewskiego!

*Jan Czerniecki*  
*Redaktor naczelny*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---

*WM*